

JERZY KŁOCZOWSKI

## WSPOMNIENIA Z POWSTANIA WARSZAWSKIEGO

Niech mi wolno będzie ofiarować fragment mych osobistych wspomnień z lat wojny koledze i przyjacielowi, z którym od 1951 r. dane nam było współpracować na tyłu polach na KUL-u; ale ta nasza współpraca, zanim się jeszcze poznaliśmy, zaczęła się w pewnym sensie na innym polu od wspólnej służby w 1944 r. w Armii Krajowej. Walczyłem wtedy na Mokotowie w Powstaniu, Zygmunt zaś ciągnął do nas na pomoc z oddziałami AK, które po przejściu Pilicy miały dołączyć od południa właśnie do mokotowskiej AK. Przecież lasy tuż za Piasecznem były przez nas opanowane i niektóre kompanie umiały się przebić stamtąd do miasta. Zygmunt brał czynny udział jako młody podchorąży w obronie Warszawy w 1939 r., w sierpniu zaś 1944 r. znalazł się w szeregach 3. batalionu 2. pułku piechoty legionów z Sandomierza Armii Krajowej jako oficer taborowy. Szli północnymi stokami Łysogór ku Lasom Korzeczkim, gdzie nastąpiła koncentracja dywizji i korpusu z planem forsowania Pilicy i marszu na Warszawę. Ostatecznie dowództwo zrezygnowało jednak z tego marszu i zaczęła się dekoncentracja oddziałów. We wrześniu batalion, w którym Zygmunt Sułowski był wówczas oficerem gospodarczym, działał na pograniczu powiatów Włoszczowa i Jędrzejów. Tym właśnie dwóm miesiącom naszych wspólnych bojów poświęcona jest moja relacja pisana jesienią 1966 roku.

W Baszcie, oddziale dyspozycyjnym Komendanta AK, byłem od 1941 r., tu ukończyłem między innymi szkołę podoficerską, a w 1943 r. — szkołę podchorążych. Jesienią 1943 r. zostałem zastępcą dowódcy II plutonu mej macierzystej I kompanii pułku Baszta, noszącej szereg kolejnych kryptonimów aż po kryptonim B1 w dniach powstańczych (jako kompanii batalionu „Bałtyk”).

Podstawowym opracowaniem dziejów powstańczych dzielnicy pozostaje książka Lesława M. Bartelskiego, także żołnierza Baszty, *Mokotów 1944* (Warszawa 1971). Tam też w indeksie rozwiązano szereg pseudonimów używanych przeze mnie w tekście, tak jak stosowaliśmy je w pełni nie tylko w konspiracji, ale i w dniach powstańczych. Wykaz żołnierzy pułku Baszta z podaniem nazwiska i imienia, pseudonimu, stopnia, ewentualnie wiadomości o śmierci z datą dzienną opublikowano w książce *Żołnierze Baszty w czasie powstania warszawskiego 1944* (Londyn 1981) nakładem londyńskiego Koła „Basztowców i Mokotowiaków”.



Rozkaz stawienia się na punkcie alarmowym plutonu na Mokotowie dotarł do mnie w godzinach przedpołudniowych 1 sierpnia 1944 roku. Noc z 31 lipca na 1 sierpnia spędzałem w mieszkaniu przy Alejach Jerozolimskich 24. Rozkaz dotarł do mnie już po wyjściu z domu, tak że nie zdołałem nawet pożegnać mych wujostwa Daniłowskich, u których mieszkałem w ostatnich miesiącach przed powstaniem. Na Mokotów jechałem, jak chyba i większość towarzyszy broni, po prostu tramwajem od Marszałkowskiej — w rejonie której mieliśmy w jednym z prywatnych mieszkań kompanijny punkt łączności — aż do Puławskiej i Parku Dreszera. Na ulicy Odyńca, tuż przy skrzyżowaniu jej z Kazimierzowską (ale od strony Puławskiej), mieliśmy punkt alarmowy naszego plutonu w mieszkaniu rodziców jednego z żołnierzy. Pluton gromadził się częściowo w małych grupkach w Parku Dreszera, wśród drzewek i krzewów młodego jeszcze parku. Niemców nie było wcale widać i nic nie zakłócało koncentracji odbywającej się zgodnie z planem. Wielkim problemem był rozdział skąpych zapasów uzbrojenia, odbywający się w owym mieszkaniu, przydział opasek, sprawdzanie stanu plutonu. Na koncentrację stawili się prawie wszyscy żołnierze czterech drużyn plutonu. Pamiętam, że w okresie konspiracji liczyliśmy się poważnie z możliwością stawienia się na ostateczny alarm tylko części ludzi. Dlatego sprawnie przeprowadzona zbiórka plutonu w ciągu kilku godzin 1 sierpnia dawała podstawy do optymizmu, stanowiąc sprawdzian dobrej organizacji i przede wszystkim gotowości żołnierzy-ochotników do przewidywanej walki. Najgorzej przedstawiała się sprawa uzbrojenia. Do dziś zachowałem w pamięci głęboki zawód, jaki odczułem po zorientowaniu się, iż nasze skąpe zapasy nie zostaną zwiększone w widoczny sposób przez przydział „z góry”. O godz. 17-ej, gdy wszystkie cztery drużyny plutonu w pełnym składzie znajdowały się już na miejscu, usłyszałem od strony północnej strzelaninę, wybuchy granatów. Był to moment niezwykłego podniecenia dla nas wszystkich: zaczęło się powstanie, do którego od tak dawna przygotowywaliśmy się i na które w ostatnich dniach z tak wielkim napięciem czekaliśmy. O ile pamiętam, już w kilka czy kilkanaście minut po 17-ej trzy plutony naszej kompanii — Andrzeja, Rawicza i nasz — pomaszzerowały pod dowództwem por. Jacka, dowódcy naszej kompanii, wzdłuż ulicy Kazimierzowskiej na północ, w kierunku strzałów. Koło Szustra dała się już wyraźnie odczuć atmosfera walki i podniecenia. Zachowałem w pamięci wrażenia lekkiego bałaganu i braku wyraźnych rozkazów. Przechodząc koło Szustra nie byliśmy na przykład pewni, czy stojący w pobliżu naszej drogi, między Kazimierzowską a Wiśniową, mały gmach centrali telefonicznej opanowany jest przez naszych, czy znajdują się w nim Niemcy. Zaczęliśmy nawet bodajże jakieś małe natarcie i dopiero krzyki z budynku upewniły nas, że w gmachu siedzą nasi. Gdzieś między Szustra i Madalińskiego widziałem dowódcę naszego batalionu, Burzę, który dowodził natarciem w tym rejonie. Po naradzie z Czernym postanowiliśmy, o ile pamiętam z mojej inicjatywy, że grupa żołnierzy naszego plutonu posiadających uzbrojenie uda się pod moim dowództwem pod atakowaną szkołę na rogu Kazimierzowskiej i Narbutta, by wziąć udział w spodziewanym szturmie. Grupa ta liczyła około dziesięciu ludzi; pozostali z Czernym mieli być w odwodzie. W pobliżu Madalińskiego znaleźliśmy się już w polu ostrzału niemieckich karabinów maszynowych. Idąc na tyłach domów przedostaliśmy

się do budynków na Kazimierzowskiej między Madalińskiego i Narbutta, leżących na wprost dużego gmachu szkoły. Budynki obsadzone już były przez nasze oddziały. Grupa nasza zajęła stanowiska w domu narożnym, przy Narbutta, na I czy też II piętrze. Gmachy po drugiej stronie Narbutta były również zajęte przez naszych. Na tym stanowisku przetrwaliśmy aż do rana 2 sierpnia, oczekując w zasadzie rozkazu do szturmu i ostrzeliwując co pewien czas gmach obsadzony przez Niemców. Niemcy strzelali do nas właściwie bardzo mało. Co pewien czas alarmowały nas czołgi niemieckie wjeżdżające na Kazimierzowską od strony Rakowieckiej, żaden z nich jednak nie dotarł do Narbutta. W pierwszych godzinach walki zmarnowaliśmy niewątpliwie na darmo dużo amunicji, której tak było mało. Chłopcy pod łada pozorem otwierali ogień na ślepo. Mieliliśmy w naszej grupie jeden niemiecki pistolet maszynowy specjalnego typu, z jednym bodajże tylko magazynkiem, przy czym obsługujący go żołnierz „wypruł” w pewnym momencie cały ten magazynek. Potem przez długie tygodnie, chyba do końca powstania, nie mogliśmy dostać do tego pistoletu maszynowego amunicji i w ten sposób stał się on bezużyteczny.

Kuchnia — należąca zapewne do zakonnic mieszczących się w zajmowanym przez nas kompleksie domów — była znakomita: w nocy dostaliśmy potężne porcje gorącego jedzenia. Od strony Śródmieścia dochodziły stale odgłosy strzałów, widać było łuny pożarów. Nie mieliśmy właściwie żadnej orientacji w tym, co się działo. Nie wiedzieliśmy także, dlaczego nie otrzymaliśmy rozkazu do szturmu na leżący po drugiej stronie ulicy budynek. Dopiero tuż przed świtem czy też nawet o świcie przyszedł rozkaz wycofania się, wykonany bez specjalnych trudności czy ostrzału ze strony niemieckiej.

Rankiem 2 sierpnia cały pluton znalazł się na zbiorce w tym samym miejscu na rogu Odyńca i Kazimierzowskiej, skąd wczoraj po 17-ej ruszaliśmy do natarcia. Straty nie były duże. Zginął jeden żołnierz (chyba „Czarnuś”, wysoki, bardzo młody chłopak), ranny był między innymi młody strzelec Saski (Adam Stanowski, dziś pracownik naukowy, socjolog i znany publicysta\*). Skutkiem przewrócenia zapaliła się na nim butelka z benzyną tak, że ledwo ogień ugaszono i uratowano życie człowieka poparzonego jednak w stopniu bardzo wysokim. Leżał następnie przez długie miesiące w szpitalach powstańczych i potem w Skierniewicach, cierpiąc niezmiernie.

Kompania (3 plutony, o plutonie Startera nie mieliśmy na razie wiadomości) obsadzić miała ul. Odyńca między Puławską a Kazimierzowską. Pluton Rawicza stanął przy Puławskiej, nasz zajął odcinek środkowy. Na tym stanowisku przebywaliśmy aż do rana 6 sierpnia. Mieszkańcy domów zostali oczywiście usunięci, a my z miejsca zaczęliśmy organizować przy oknach stanowiska obronne, barykadować wejścia itd. Spodziewaliśmy się niemieckiego kontrataku od północy. Zdobycie szkoły na Woronicza i, niewielkie zresztą, przydziały broni, granatów i amunicji podniosły u wszystkich ducha walki. Zyczliwość ludzi dla nas była właściwie nadzwyczajna. Żywności nie brakowało, Niemcy silnie nie atakowali, powstanie w różnych punktach miasta — jak można się było orientować z dochodzących odgłosów — trwało. Na tyłach naszych stanowisk zaczęło się organizować swoiste, normalne życie powstańczego Mokotowa. Dla nas, żyjących w ostatnich latach w ustawicznej groźbie i poczuciu stałego niebezpieczeństwa na ulicy i w domu, dniem i nocą, kiedy to gestapo chętnie wywle-

\* Zmarł 7 II 1990 jako senator Rzeczypospolitej (przyp. red.)

kało ludzi z mieszkań, warunki powstańcze przyniosły bardzo silnie przeżyta i odczuta wolność. Mimo całej niepewności ogólnej sytuacji i świadomego często niezastanawiania się, co z niej wyniknie, przeżywalismy jakoś niepowtarzalną, jedyną w swoim rodzaju radość ludzi, którzy poczuli się w pełni wolnymi.

Od pierwszych dni prowadziłem często patrole kilkuosobowe na przedpole dniem, a przede wszystkim nocą. Nocą docieraliśmy na wysokość Madalińskiego, obserwując pilnie teren i zachowanie się nieprzyjaciela w szkole, której nie udało się zdobyć, bądź też na róg Szustra i Puławskiej, skąd można było łatwiej uzyskać wgląd w stanowiska niemieckie przy ul. Dworkowej. Obawialismy się spotkań z oddziałami nieprzyjaciela, w rzeczywistości jednak Niemcy siedzieli w umocnionych budynkach, oświetlając tylko regularnie rakietami przedpola swych stanowisk. Wychodząc na patrole zaczęliśmy bardzo szybko zakładać buty „cichołazy”; owinięcie butów jakimś szmatami czy materiałem zapewniało cichość posuwania się, zwłaszcza po ulicach, na których leżało wiele szkła od powybijanych szyb. Tylko w czasie jednego z dziennych patroli ostrzelaliśmy z dość dużej odległości wzdłuż Puławskiej grupę Niemców kręcących się właśnie po Puławskiej gdzieś na wysokości Szustra czy Różanej.

Przed świtem 4 sierpnia oddziały nasze wyruszyły do obsadzenia ulicy Różanej i powiększenia w ten sposób zajętego obszaru. Kompania B1 zajęła odcinek między Puławską a Kazimierzowską. Pluton II zajął o wczesnym świcie gmachy przy Różanej, między Bałuckiego a Wiśniową, skąd rozciągało się przed nami duże przedpole: ogródki działkowe, ruiny małych domków przy ul. Madalińskiego, tak że dopiero przy Narbutta stała zwarta linia domów, a między nimi wyróżniający się masowością i wielkością gmach szkoły obsadzony przez Niemców. Obsadzanie i umacnianie gmachów połączone było oczywiście z usunięciem dość przerażonych mieszkańców, których budziliśmy ze snu, prosząc o natychmiastowe wyjście z domu i udanie się na tyły. O ile pamiętam, dopiero w pierwszych chwilach obsadzania przez nas domów przy Różanej, gdy było już zupełnie jasno, wybuchła walka na prawym naszym skrzydle i Niemcy zostali zaalarmowani. Od Dworkowej pojawiły się ich czerwone rakietki, na całej zaś linii otworzyli — jak zwykle w takich sytuacjach i potem czynili — silny ogień z broni maszynowej. Walka z naszej strony przyniosła w wyniku od razu na początku zdobycie ciężkiego karabinu maszynowego przez oddział dowodzony przez Rawicza, następnie jednak wywiązała się na szereg godzin walka ogniowa z załogą niemieckiej żandarmerii na Dworkowej wspieraną przez czołgi, działające na Puławskiej od strony Rakowieckiej. W pewnym momencie tej walki wzięłem w niej udział wraz z grupą uzbrojonych ochotników z plutonu II, którego stanowiska nie były wprost atakowane, poza ostrzałem ze szkoły przy ul. Narbutta. 6-8-piętrowego domu, stojącego na skrzyżowaniu Różanej i Puławskiej (od strony północnej). Później znalazłem się ze swym stenem na placyku rozciągającym się przy ul. Puławskiej między Różaną i Szustra. Placyk był przez cały czas bardzo silnie ostrzeliwany z broni maszynowej od strony Dworkowej, leżało na nim szereg zabitych naszych żołnierzy. W podobnych sytuacjach często najważniejszym problemem było dla nas zebranie i uratowanie w ten sposób broni i amunicji posiadanej przez zabitego kolecę. Dotarcie do zabitych w momencie, w którym znalazłem się na placyku, było zupełnie niemożliwe. Leżałem za małą drewnianą szopą-barakiem, stojącym mniej więcej na środku placyku. Dotąd można się było jeszcze doczołgać od gmachu w głębi placyku, obsadzonego

przez nas. W pewnym momencie zacząłem obserwować nad sobą rosnącą liczbę otworów od pocisków niemieckich przebijających ścianę baraku, przy czym otwory te „schodziły” coraz niżej. Byłem przekonany, że koniec ze mną, na szczęście jednak linia owych otworów zatrzymała się dośłownie kilkanaście centymetrów nade mną. Doczołgała się do mnie jeszcze sanitariuszka, chyba Monika, ale i ona nie znalazła pola do działania dla siebie: nic nie wskazywało zresztą, by wśród leżących zwłok mogli być ranni. Po pewnym czasie wycofaliśmy się szczęśliwie pod nieustającym ostrzałem.

W ostatniej fazie bitwy Jacek, dowódca kompanii, zdecydował wycofać nasze drużyny z rozciągniętej linii ul. Różanej i uformować czworobok obronny w oparciu o kompleks dużych gmachów otoczonych ulicami Puławską, Szustra, Bałuckiego i Różaną. W ciśniejszej zabudowie mniej obawialiśmy się ataku czołgów. Szybko jednak, gdzieś we wczesnej porze przedpołudniowej, otrzymaliśmy rozkaz wycofania się z powrotem na linię Odyńca.

Trzecie, tym razem definitywne „wyjście” nasze z Odyńca nastąpiło nad ranem 6 sierpnia. Kompania już w pełnym składzie czterech swych plutonów obsadziła o świcie 6 sierpnia linię ul. Szustra między Puławską a Kazimierzowską: na naszym lewym skrzydle kompania B2 zajęła ul. Szustra aż do al. Niepodległości, na prawym — „szwoleżerowie” stanęli na Belgijskiej. Pluton II zajął domy między Bałuckiego a Wiśniową, przede wszystkim zaś duży dom przy ul. Szustra 18 (?), który odtąd stanowił naszą główną kwaterę. Dotąd nie rozumiem, dlaczego nie pozwolono nam zająć gmachów przy Różanej, skąd mieliśmy tak dobre pole obserwacji i ostrzału. W ciągu kilku najbliższych dni Niemcy podjęli próbę zniszczenia naszych stanowisk, posuniętych teraz wcale blisko do nich. 9 sierpnia (datę biorę z własnego artykułu z 1947 r. w „Tygodniku Warszawskim” nr 39, bo dziś już jej nie pamiętam) pozycje nasze zostały zaatakowane przez kilkanaście sztukasów bombami i ogniem broni maszynowej. Szereg domów zostało zburzonych. Świetnie pamiętam moment, gdy leżąc pod świerczkiem w ogrodzie willi przy rogu Szustra i Bałuckiego, zajmowanej przez nas, obserwowałem na jasnym tle niebieskiego nieba krążące i pikujące co chwila samoloty i zastanawiałem się, czy tym razem trafią we mnie czy nie. W tych samych dniach oddział SS od strony gmachu Wedla (róg Puławskiej i Madalińskiego) urządził w ciągu dnia wypad na nasze pozycje. Na Szustra słabo orientowaliśmy się w przebiegu walki ogniowej prowadzonej w tym momencie, stąd też postanowiłem — nie bardzo orientując się w sytuacji — zająć stanowisko w domach przy Różanej. Wraz z jednym z żołnierzy, chyba strzelcem Molochem, wybiegłem z domów przy Szustra ze stenem w rękę, by osiągnąć poprzez ogródki odległy o kilkanaście metrów dom przy Różanej. Dobiegam do tego domu, próbuję wspinać się do okna na parterze i nagle z największym zdziwieniem dostrzegam w tymże oknie esesmana z pistoletem maszynowym w rękę. Ów esesman był zdaje się równie przerażony i zaskoczony co i ja. Zdażyłem tylko uskoczyć w bok pod okno, on zaś puścił serię bardziej w powietrze niż do mnie i niewątpliwie od razu uciekł. Dopiero po paru minutach zorientowaliśmy się, że Niemcy podpalili gmach i opuścili go. Pożar udało się nam szybko zgasić, od razu też zajęliśmy definitywnie, bo aż do momentu kapitulacji, całą tę grupę domów. Stopniowo umacnialiśmy je następnie coraz lepiej, wykorzystując worki z piaskiem, wybijając otwory-strzelnice, kopiąc głębokie rowy dobiegowe od strony Szustra itd.

Od chwili zajęcia linii Szustra prowadziłem prawie co noc patrolę plutonu — zwykle w sile 4-5 ochotników z różnych drużyn. Dochodziliśmy zwykle aż do domów przy ulicy Narbutta, jeszcze zamieszkałych. Przejście przez ul. Madalińskiego i następnie posuwanie się w częściowo otwartej przestrzeni między Madalińskiego a Narbutta, w zasięgu działania i obserwacji placówek niemieckich w domu Wedla i wspomnianej już szkoły wymagało szczególnej ostrożności. Najbardziej jednak zachowałem w pamięci patrolę dzienne zaraz po 6 sierpnia do rejonu domów między Madalińskiego a Olesińską i Różaną, leżącego tuż pod bokiem i w dużym stopniu w zasięgu obserwacji i ognia Niemców od „Wedla” i z Dworkowej. W pierwszym z tych patroli, będącym zarazem pierwszym chyba w ogóle z naszych patroli, który do tych domów dotarł po dniu 4 sierpnia, spotkaliśmy się z dymiącymi jeszcze resztkami szeregu domów, spalonych tu przez Niemców zaraz po naszym wypadzie z 4 sierpnia, oraz z ludźmi półobłąkanymi, wystraszonymi do tego stopnia, że nie bardzo nawet odróżniali nas od Niemców. Niemcy wymordowali tu dzieciątki, jeśli nie więcej osób, między innymi w piwnicy jednego z domów przy ul. Olesińskiej; pozostało jeszcze z tych „akcji” niemieckich wielu rannych. Patrole niemieckie stałe tu zresztą wracały i mieszkańcy żyli pod ustawiczną groźbą powtórzenia się strasznych scen mordu. Niektórzy po zorientowaniu się kim jesteśmy błagali nas o wycofanie się, byśmy nie sprowokowali nowych represji. Po powrocie z tego patrolu złożyłem dowódcy kompanii meldunek o całej sytuacji; w następnych dniach zorganizowano skuteczną pomoc, ewakuując przede wszystkim rannych ludzi z całego tego rejonu i zachęcając wszystkich mieszkańców do jego opuszczenia, co też chyba wszyscy uczynili. Krótco przed 14 sierpnia Niemcy zaczęli usuwać ludność z ul. Narbutta i sąsiednich, leżących w zasięgu ich działania ulic, a następnie podpalili długi szereg domów, położonych zwłaszcza przy ul. Narbutta. W ten sposób teren między Niemcami a naszymi pozycjami stawał się coraz bardziej pusty i pozbawiony ludzi. Jeszcze jednak chyba aż do końca sierpnia zdarzało się nam spotykać pojedynczych ludzi czy ich małe grupki kryjące się wśród ruin. W pamięci zachowałem zwłaszcza wręcz zdumiewające spotkanie z kobietą w sile wieku, żoną — jak nam powiedziała — oficera Armii Krajowej, i jej dwiema córkami. Ukrywała się ona przy ul. Madalińskiego wśród ogródków działkowych, gdzie nocą mogła znajdować pożywienie. Po spotkaniu naszego nocnego patrolu zaczęła nas zachęcać do wytrwania, wiary w zwycięstwo i słuszność sprawy z niezwykłą wprost żarliwością, nie skarżąc się przy tym wcale na swoją sytuację.

W nocy z 13 na 14 sierpnia podjęta została z naszej strony ostatnia próba zajęcia budynku szkoły na rogu Kazimierzowskiej i Narbutta oraz domu „Wedla”. Wzięły w niej udział trzy kompanie: K2, B2 oraz B1. K2 atakować miała szkołę, B2 — dom „Wedla”, nasza zaś kompania B1 otrzymała za zadanie obsadzenie ul. Narbutta między niemieckimi ośrodkami obrony i ewentualnie prowadzenie dalszego natarcia w kierunku Rakowieckiej. W nocy przeszliśmy całą kompanią, nie zauważeni przez Niemców, ulicę Madalińskiego i zaczęliśmy zajmować płonące jeszcze domy, podpalone chyba poprzedniego dnia. Uderzenia na obu naszych skrzydłach nie dały wyników. Jak mi później opowiadano, chłopcom z K2 udało się dobiec rowkami dobiegowymi prawie do samego gmachu szkoły, i to bez strat. Podobno w tym momencie kierujący natarciem major Majster miał wydać rozkaz odwrotu. Ze stratą kilku ludzi, w tym dzielnego dowódcy Pawłowicza, kompania K2 wycofała się. Dodać można, że siła ognio-

wa nieprzyjaciela była dużo większa aniżeli w pierwszych dniach powstania. Nigdy nie znałem dokładnie stanu załogi niemieckiej w szkole, jestem jednak przekonany, że w pierwszych dniach był on znacznie mniejszy aniżeli później. Podobnie załamało się natarcie B2 na dom „Wedla”. Jeden z plutonów, uderzający od strony Narbutta i Sandomierskiej, wpadł na pole minowe i pod silnym ogniem Niemców musiał się wycofać ponosząc straty. Mam wrażenie, że całe natarcie nie było dobrze przygotowane. W czasie akcji, już po przejściu przez nas ul. Madalińskiego, otrzymałem zadanie udzielenia informacji o terenie dowódcy tego plutonu B2, który miał od Narbutta uderzać na dom „Wedla”. Pierwszym jego pytaniem było, gdzie ten dom „Wedla” stoi. Wyglądało na to, że mający prowadzić natarcie miał słabą orientację w terenie i słabo znał swe konkretne zadanie. Nie wiem, kiedy je otrzymał i co zrobił dla przeprowadzenia rozpoznania, możliwego wszak chociażby w formie nocnego patrolu.

Kompania B1 otrzymała rozkaz wycofania się już o świcie. Plutony pod silnym ostrzałem nieprzyjaciela opuszczały stanowiska przy ul. Narbutta. Było już widno i przebycie prawie że otwartego terenu między Narbutta a Różaną stało się zadaniem bardzo trudnym. W dodatku Niemcom udało się w pewnym momencie utworzyć wzdłuż Madalińskiego zapórę płaską z ognia ciężkich karabinów maszynowych ustawionych w pobliżu domu „Wedla” i odciąć w ten sposób grupę około 60 żołnierzy z różnych plutonów B1. Reszta z dowódcą kompanii Jackiem znalazła się do tego czasu już po drugiej, naszej stronie ul. Madalińskiego. Znalazłem się w grupie odciętej, gdyż pluton II był chyba ostatnim opuszczającym Narbutta. Po zorientowaniu się w sytuacji doszedłem szybko do wniosku, że czekanie w ruinach przy Madalińskiego na okazję do przeskokowania ulicy grozi nam po prostu zniszczeniem przez ogień nieprzyjaciela i że należy stworzyć sytuację obronną bardziej dla nas korzystną. W pobliżu naszych przymusowych stanowisk, między Madalińskiego a Narbutta, tuż przy placu otaczającym szkołę, stały trzy trzypiętrowe budynki nie spalone (i dotąd zresztą stojące). Doczołgałem się do nich wraz z kilkoma żołnierzami i po zorientowaniu się na miejscu dałem sygnał pozostałym dołączenia do nas. Stopniowo cała odcięta grupa znalazła się w budynkach: obsadziliśmy dwa z nich pozostawiając jeden, wychodzący wprost na Narbutta, bez obrony. Budynki stały jeden za drugim, frontem do Narbutta; oddzielały je od siebie podwórka. Od strony szkoły stał jakiś niski budynek gospodarczy, zasłaniający podwórka od obstrzału z tej strony. Znajdowaliśmy się pod stałym ostrzałem nieprzyjaciela, który jednak dopiero po kilku godzinach zebrał się do bezpośredniego na nas natarcia. Przygotował je obstrzał naszych domów z czołgów i broni maszynowej. Czołg od strony szkoły rozwalił w dużej mierze ściany zachodnie budynków. Sam zająłem ze swym stenem stanowisko ogniowe w trzecim od Narbutta budynku przy ścianie wschodniej, od strony „Wedla”, w pokoju z oknem wychodzącym w kierunku Narbutta. Widać stąd było oczywiście dom środkowy, z lewej szkoły, z prawej zaś domy stojące przy Narbutta częściowo nie spalone. W tych właśnie domach Niemcy zajęli stanowiska i otworzyli na nasz budynek tak silny ogień z broni maszynowej, że mowy być nie mogło przy naszych środkach ogniowych o nawiązaniu z nimi walki. Mieliśmy karabin maszynowy z plutonu Andrzeja czy Rawicza, którego obsługa próbowała kilka razy strzelać, natychmiast jednak musieli przestać: straciliśmy przy tych próbach jednego czy dwóch ludzi. Do pokoju, w którym stałem przy oknie, strzelał niemiecki karabin maszynowy, chyba ze dwie godziny bez przerwy, rozbijając ścianę dzielącą

ten pokój od następnego. Co pewien czas ten gwałtowny obstrzał powodował pożar i całą uwagę skupialiśmy w tych warunkach na jego gaszeniu. Było to niezmiernie trudne, gdyż korzystanie z klatki schodowej stało się prawie niemożliwe. Obawiałem się, by czołgi nie zaczęły nas ostrzeliwać od strony wschodniej, co groziłoby rozbiciem mocnej ściany i w konsekwencji nie tylko koniecznością zejścia do piwnic, ale spalaniem budynku. Na każdym piętrze musiało być bowiem po kilku ludzi chociażby dla gaszenia pożaru.

Po wielogodzinnym przygotowaniu ogniowym Niemcy postanowili przejść do szturm. Z mego okna miałem bardzo wąski odcinek obserwacji nie zagrożony bezpośrednio bocznym ogniem nieprzyjaciela. Podwórko naszego domu oddzielone było od strony wschodniej murem dość wysokim, w środku którego znajdowała się wybita dziura do przechodzenia. W pewnym momencie dostrzegłem rząd Niemców wychodzących z budynku przy Narbutta i posuwających się za murem do owego przejścia. Złożyłem się z lewego ramienia ze swego nieodłącznego stena, uważając przy tym na niedostanie się w pole niemieckiego obstrzału, i puściłem kilka serii. Na moich oczach pierwszy kilku Niemców pada, chyba trafionych. Daję na dół komendę, ledwie tam słyszana w ogniu: granaty za mur! Rzucam je między innymi Cygan, stojący w bramie budynku naprzeciw, z którym cały czas utrzymuję łączność wzrokową. Niemcy zatrzymują się i natychmiast robią, chyba z moździerza, jakąś zasłonę jakby z dymu i kurzu razem, pod którą wycofują się. Po pewnym czasie wycofują się zresztą i z domów przy Narbutta, przestając do nas strzelać. Na sześćdziesiąciu ludzi mieliśmy zaledwie dwóch czy trzech zabitych, których pochowaliśmy na podwórku. Na miejscu, do którego doszli ostrzelani przeze mnie Niemcy znalazłem później taśmę od karabinu maszynowego pełną naboji. Wieczorem przeszliśmy bez przeszkód przez Madalińskiego, spotykając się od razu między innymi z dowódcą naszej kompanii, niezmiernie w ciągu całego dnia zatroskanym o nasz los.

Odtąd nie podejmowane już były na naszym odcinku działania zaczepne w większym stylu. Stale prowadziliśmy tylko nocną akcję patrolowania, dochodząc, zwłaszcza w pierwszych tygodniach, do Narbutta. W czasie jednego z takich nocnych patroli, już chyba we wrześniu, patrol pod moim dowództwem wysadził w powietrze przy pomocy niewypału niemieckiego działa kalibru 155 mm bunkier, osłaniający szkołę z Niemcami od strony ul. Madalińskiego, stojący tuż przy tej ulicy. W momencie ruszenia natarcia naszych oddziałów na Czerniakowie w kierunku Śródmieścia, wieczorem w niedzielę 27 sierpnia, dowodziłem oddziałem kompanii złożonym z kilkunastu żołnierzy, którego celem było markowanie uderzenia na dom „Wedla” dla odwrócenia uwagi wroga. Chodziło między innymi o robienie możliwie dużego „hałasu”, co staraliśmy się czynić.

W „pozycyjnej” wojnie, która trwała na tym odcinku do końca powstania, dawał się nam odczuć nekający ogień granatników, a we wrześniu także w stopniu większym ogień artyleryjski. Strzelcy wyborowi nieprzyjaciela „polowali” na nas z dużą nierzadą umiejętnością: tak ranna została między innymi Kasia, łączniczka-sanitariuszka III plutonu (na balkonie przy ul. Bałuckiego). Niemcy systematycznie umacniali swe stanowiska, a pod koniec poobsadzali nawet, przynajmniej częściowo, stojące jeszcze domy przy ul. Narbutta. Minerzy ich oczyszczali przedpole i w czasie patroli w coraz większej mierze obawialiśmy się min. Brak żywności odczuwaliśmy w mniejszym może od innych stopniu: „własne” przedpole



z pomidorami, ziemniakami itd. dawało nam pewne możliwości uzupełniania oficjalnych przydziałów.

Pod koniec powstania objąłem dowództwo II plutonu, a ppor. Czerny skierowany został do innych zadań. Na zastępcę zaproponowałem swego przyjaciele, dowódcę drużyny w plutonie III, Mieczysława Chorążego — pchor. Groma. Z plutonem byłem bardzo zżyty. Formowałem go właściwie wspólnie ze Spadem — Jurkiem Strzelczykiem od jesieni 1943 r. jako zastępcę dowódcy plutonu. Kiedy po tragicznej śmierci Spada wiosną 1944 r. przyszedł do nas Czerny, nigdy chyba nie zdążył się on bliżej zgrać z plutonem. Dużą radość sprawił mi fakt życzliwej reakcji wszystkich drużyn plutonu na moją nominację. Z wszystkimi dowódcami drużyn łączyły mnie bliskie stosunki, a do całego plutonu miałem pełne zaufanie.

Na kilka dni przed 24 września pluton mój został wycofany z linii i oddany do specjalnej dyspozycji ppłka Daniela, dowódcy Baszty. Oczekiwaliśmy decydującego uderzenia Niemców. Zaczęło się ono w niedzielę 24 września, jak zanotowałem w 1947 r., o 7<sup>45</sup> rano. Cała prawie nasza kompania była w tym momencie na mszy w wielkiej sali gmachu Społem. Pamiętam dotąd świetnie atmosferę tej niezwyklej mszy. Ksiądz Zieja, kapelan Baszty, udzielił w czasie jej trwania — gdy się zaczął generalny atak — ogólnej absencji. Wszyscy prawie przyjęli komunię, przy czym każdy natychmiast biegł na stanowisko; cały nasz rejon znajdował się pod silnym ogniem artyleryjskim, nie byliśmy jednak wprost atakowani na ziemi.

Tegoż dnia wczesnym wieczorem zostałem wezwany do ppłka Daniela, który osobiście zlecił mi następujące zadanie. Pluton ma wziąć udział w organizowanym tej nocy przeciwuderzeniu w celu odebrania Królikarni. Ponieważ morale walczących tam oddziałów jest różne i ludzie są przemęczeni, ppłk Daniel wezwał, byśmy naszą bojową postawą potrafili także poderwać inne oddziały do walki. Przeprowadziłem pluton z ulicy Szustra do bloków na rogu ulic Woronicza i Puławskiej. Tam około północy odbyła się w podziemiach odprawa, prowadzona przez ppłka Daniela. Główne uderzenie oddziału złożonego z 2 czy 3 plutonów pod dowództwem, o ile się nie mylę, por. Klimka, miało iść na samą Królikarnię. Mój pluton znalazł się w tym oddziale. Inny oddział, a mianowicie całość lub część B3 i może jeszcze coś więcej, dokonać miały natarcia odciażającego nas wzdłuż Puławskiej w kierunku na południe, po przeciwległej stronie niż Królikarnia. Nadto oddziały obsadzające linię Woronicza udzielić nam miały wsparcia ogniowego. Podpułkownik Daniel kładł duży nacisk na konieczność zdobycia Królikarni szturmem. Nie pamiętam, na którą godzinę wyznaczono uderzenie, ale w każdym razie było to ok. 1-2 w nocy. W grupie uderzającej bezpośrednio na Królikarnię pluton mój, mniej zorientowany w terenie, iść miał do szturm jako ostatni.

Zajęliśmy stanowiska w bramie domu na rogu Puławskiej i Woronicza oraz na placu pomiędzy tym domem a płonącą szkołą przy ul. Woronicza. Stałem z plutonem na tym właśnie placu. O wyznaczonej godzinie ruszyło natarcie naszych sąsiadów, Niemcy otworzyli silny ogień i intensywnie oświetlili przedpole raketami. Porucznik Klimek nie poderwał oddziału do szturm mimo wezwań łączników, przysyłanych od nacierających oddziałów. Po pewnym czasie, może po około 1/2 godz. lub mniej, udałem się po radzie z moim zastępcą pchor. Gromem do por. Klimka, znajdującego się na czele kolumny u wylotu bramy na Puławską. Gdy nie odpowiedziano mi na pytanie, dlaczego nie ruszamy, zgłosiłem gotowość ruszenia do szturm z moim plutonem. Po uzyskaniu zgody wyprowa-

dziłem pluton na czoło kolumny szturmowej i natychmiast poprowadziłem biegiem do szturm przez kilkudziesięciometrowy odcinek Puławskiej w kierunku Królikarni. Chłopcy obrzucili granatami stanowiska nieprzyjaciela za murem Królikarni. W pierwszych momentach walki zostałem ranny. Gdy rzuciłem się na zamkniętą bramę prowadzącą na teren Królikarni, dostałem serię z karabinu maszynowego w prawą rękę. Miałem tylko trochę czasu na oddanie dowództwa Gromowi i wyznaczenie dalszego kierunku natarcia i musiałem się wycofać z akcji. Zniesiono mnie wówczas do podziemia szpitala ss. Elżbietanek i amputowano prawą rękę. Wiem z późniejszych relacji, że natarcie plutonu rozwinęło się następnie wzdłuż muru odgradzającego Królikarnię od północy, doszło do walk poprzez mur na bardzo bliską odległość, ale gdy pluton nie otrzymał pomocy — wycofał się ze stratami. Całe natarcie nie przyniosło więc wyników. Pragnę dodać, że stan liczebny mego plutonu wynosił wówczas około 30-40 ludzi, całość zaś stanu osobowego oddziału przeznaczonego do bezpośredniego uderzenia na Królikarnię dochodziła niewątpliwie do około 100 żołnierzy.

Dowództwo plutonu objął po mnie pchor. Jacek IV (Stefan Sakowicz), który wczesnym rankiem 25 września otrzymał rozkaz wprowadzenia plutonu do akcji. Pluton, który ledwo co powrócił z Królikarni na kwatery przy ul. Szustra, poprowadzony został do Parku Dreszera, gdzie pożegnał go dowódca naszego baonu, mjr Burza. We wrażeniach żołnierzy została pamięć dobrej, bojowej postawy oddziału, idącego w kierunku nieprzyjaciela wśród bezładnie cofających się grupek żołnierzy innych oddziałów. Sytuacja w oczach tak dowódcy plutonu, jak i baonu była w najwyższym stopniu niejasna. Nie wiadomo było dokładnie, gdzie są Niemcy. Po przejściu Parku Dreszera pluton zajął budynki (wille) przy ul. Czeczota, a od strony narożnika Odyńca — przy ul. Krasickiego. Tu zorientowano się, że nieprzyjaciel jest już na Goszczyńskiego i w dalszej części ul. Czeczota. Dla zajęcia dogodniejszych stanowisk pchor. Jacek IV poderwał pluton do szturm na pozycje niemieckie przy ul. Goszczyńskiego. Pod bardzo silnym ogniem wroga zajęto nowe stanowiska, tworząc kilka zaimprovizowanych punktów oporu przy ul. Goszczyńskiego i Czeczota. Doszło do zaciętych walk na bardzo bliską odległość, włącznie z dość wyjątkowym w powstaniu użyciem bagnietów (np. jeden z żołnierzy, Molocho, przebił bagnietem napotkanego w bardzo bliskiej odległości Niemca). Na zajętych stanowiskach pluton bronił się w zasadzie aż do wieczora pod bardzo silnym ostrzałem różnych rodzajów broni nieprzyjaciela. W posiadanej przeze mnie relacji jednego z dowódców drużyn, plut. Marka (Janusza Bielskiego), tak opisano walkę jednego z punktów oporu: „W willi tej, którą zajęliśmy, przeżyliśmy okropne chwile. Byliśmy w tej części najdalej wysuniętą placówką w stronę Goszczyńskiego i z tego powodu byliśmy pod niesamowitym ostrzałem broni maszynowej, granatników i czołgów, które bez przerwy nacierały od strony Pola Mokotowskiego. Niemcy dosłownie szaleli, puszczali świece dymne i kilka razy usiłovali nacierać. Udało nam się, mimo bardzo złego uzbrojenia, utrzymać tę placówkę przez cały dzień (udało mi się ściągnąć rusznicę przeciwpancerną — lecz niestety bez amunicji!)”. W toku walki pluton poniósł jednak bardzo poważne straty w zabitych i rannych i praktycznie został rozbity. Nikt prawie nie wyszedł tego dnia bez rany. Wśród zabitych znalazł się bohaterski dowódca plutonu, pchor. Jacek IV (ranny w czasie szturm, konał następnie przez kilka godzin na przedpolu na oczach nie mogących mu dopomóc kolegów; plut. Marek z bronią w rękę zabraniać musiał żołnie-

rzom przyjścia mu z pomocą w warunkach pewnej śmierci), po którym dowództwo objął pchor. Grom i usiłował skoordynować walkę poszczególnych placówek. Pluton nie miał łączności z sąsiadami i właściwie od początku nie wiadomo, aby istniała na całym tym odcinku jakaś zorganizowana linia obronna. Pojawiali się od czasu do czasu pojedynczy żołnierze i małe grupki, które usiłowały stawiać opór. Pod wieczór, gdy nacisk nieprzyjaciela na tym odcinku chwilowo zelżał, resztki żołnierzy i rannych plutonu wycofały się poprzez rowy łącznikowe na ul. Odyńca i w Parku Dreszera do obszaru zajmowanego jeszcze przez nasze oddziały.

W sumie w ciągu 25 września pluton II kompanii B1 został więc praktycznie rozбитý i pozostało w nim zaledwie kilku zdrowych żołnierzy. Kilkunastu poległo, reszta — to ranni i zaginieni.

Mnie osobście po operacji w podziemiach szpitala ss. Elżbietanek przewieziono, jeszcze śpiącego, do punktu szpitalnego kompanii w piwnicy jednego z domów przy ul. Bałuckiego. Leżałem tu z żołnierzami głównie z własnego plutonu. 25 i 26-go przenikały do nas wieści o poniesionych klęskach i posuwaniu się Niemców. 26-go odwiedził mnie por. Jacek, dowódca kompanii, i w szeptanej rozmowie w cztery oczy, jakże trudnej w tych warunkach, oznajmił, że postanowiono ewakuację oddziałów mokotowskich kanałami. W sprawie zabrania mnie z kompanią por. Jacek rozmawiał specjalnie z lekarzami, ci jednak stanowczo stwierdzili bezsens takiego postępowania. Mnie jednak ogromną przykrość sprawiała myśl, że mogę znaleźć się poza oddziałem. Wdzięczny byłem niezmiernie por. Jackowi i kolegom z kompanii za troskę, ale koniecznie chciałem iść z nimi. Po wyjściu Jacka próbowałem nawet wstawać, ale to się oczywiście nie udało.

Nadeszła koszmarna noc z 26 na 27 września, kiedy to oddziały wychodziły kanałami, my zaś zostawialiśmy w przekonaniu, że po przejściu Niemców zostaniemy po prostu „rozwaleni”. Nadzwyczajne w tej sytuacji, jak i w innych, okazały się nasze sanitariuszki, zdecydowane na pozostanie z nami do końca. Jakże jedna z nich potrafiła rozładować w ciągu nocy napiętą atmosferę naszej piwnicy prostym powiedzeniem: „chłopcy, nie bójcie się, przecież Pan Bóg jest nad nami”.

Rano 27 września przysły wieści o flagach kapitulacyjnych. Później przyszli Niemcy, na szczęście na naszym odcinku Wehrmacht. Stary żołnierz, chyba Ślązak, wszedł w pewnym momencie do naszej piwnicy. Machnął ręką na siostrę, tłumaczącą mu, że tu leżą cywile, i wskazując ręką na wschód powiedział coś w tym sensie, że zamiast się bić ze sobą powinniśmy razem pójść przeciwko Rosjanom... Potraktowani zostaliśmy, niespodziewanie dla siebie, jako jeńcy wojenni. Po kilku dniach pobytu na Mokotowie pod opieką naszych sióstr i lekarzy przewieziono nas furmankami chłopskimi na tor wyścigowy na Służewcu, skąd, o ile pamiętam wieczorem 30 września, załadowano nas na pociąg towarowy i wywieziono. Na drogę dała mi nieoceniona Małgorzata zastrzyk morfiny, skutkiem czego podróz w księżycową noc otwartym wagonem wydawała mi się bajką. Nie wiedzieliśmy dokąd nas wiozą i oczywiście baliśmy się najgorszego. Po drodze przez Piastów, Błonie, Łowicz dojechaliśmy wieczorem 1 października do Skierniewic. Tu wyładowano rannych „na kupe” w baraku obozu przejściowego dla jeńców leżącego pod miastem. Leżeliśmy w straszliwych warunkach, bez opieki lekarskiej i sanitarnej, bez jedzenia. Ciężej ranni umierali bez pomocy. W ciągu dnia otrzymaliśmy dopiero normalne porcje obozowego jedzenia, dla większości z nas nie do przełknięcia. Dopiero po kilku dniach zaczęła nadchodzić w małej na razie

formie pomoc od mieszkańców Skierniewic za pośrednictwem miejscowej Rady Głównej Opiekuńczej. Sam po kilku dniach leżenia wstałem i sam udałem się do punktu opatrunkowego obozu na pierwszy od czasu operacji opatrunek. Od kilku dni bandaże były zupełnie czarne, a przez cały czas czułem nieznośny ruch jakichś stworów pod bandażem. Okazało się, że taka kuracja dała jednak swoje wyniki. Lekarz zachwycony był doskonałym stanem mej ręki po zdjęciu bandażu.

Po kilku dniach przeniesiono mnie, jak i innych ciężiej rannych do szpitala powiatowego w Skierniewicach, skąd po kilku tygodniach powróciłem z powrotem do obozu. Przebywałem tu do połowy stycznia. Zwolnieni zostaliśmy dopiero w momencie zbliżania się frontu.